

PRZEZ OKUPOWANĄ POLSKĘ

Pociąg, którym wyjechałem, składał się z wagonów osobowych trzeciej klasy oraz wagonów towarowych, których po działaniach wojennych zaczęto używać do przewozu pasażerów. Stacją początkową był Poznań, więc podróżni mający duży bagaż – a takich była chyba większość – od razu usadowili się w wagonach towarowych. Ja znalazłem wygodne miejsce w jednym z przedziałów przy oknie. Przeciwległą ławkę zajęła czteroosobowa rodzina z chłopcem w moim wieku. Pochodzili z Obornik i jechali do rodziny w Radomiu.

Z ich synem Romkiem od razu znalazłem wspólny język. Chodził do gimnazjum w Obornikach, ale nie odważyłem się spytać, czy znał uczących się tam moich kolegów Mońka Birencwajga i Adka Redlicha. Mogłoby to nasunąć mu myśl, że sam jestem Żydem. Rozmowa zesłała na temat niemieckiej aneksji zachodnich województw. Wzajemnie przekonywaliśmy się, że nie jest to ani słuszne, ani zgodne z prawem i nie da się utrzymać w przyszłości. Niemcy panoszyli się tutaj blisko półtora wieku, ale w końcu musieli odejść. Teraz ich władza nie potrwa tak długo; mają przeciw sobie niemal cały świat. Nawet ich oficjalni sojusznicy Włochy i Japonia nie chcą angażować się po ich stronie. Na wiosnę Anglia i Francja ruszą wraz ze swoimi kolonialnymi wojskami i zgniotą cały ten tysiącletni Reich. Było to dla nas tak oczywiste, że nie mogliśmy zrozumieć, jak ci zaślepieni faszyci w Berlinie tego nie widzą.

Do rozmowy włączyli się rodzice Romka, wypytując o szczegóły okupacji w Poznaniu, a potem dokąd jadę i po co. Opowiedziałem przygotowaną bajeczkę, co wzbudziło ich współczucie⁶⁹. Na pewno znajdę ojca całego i zdrowego, pocieszali mnie. Z ich słów wywnioskowałem, że nie wyjeżdżają dobrowolnie, lecz podobnie jak my postanowili zaoszczędzić sobie przymusowego wysiedlenia. Ojciec Romka pracował w zakładach mięsnych czy może w rzeźni w Obornikach,

⁶⁹ Noach Lasman podróżował pod nazwiskiem Jurek Jasiński. *Zwangsarbeit 1939–1945. Erinnerungen und Geschichte...*, s. 27.

której administrację w całości obsadzono Niemcami i folksdojcami. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że pociągiem jadą głównie uciekinierzy jak ja.

Na przystankach wsiadali nowi pasażerowie i przedział wypełnił się stojącymi. Ustąpiłem miejsca jakiejś starszej pani. Zdarzały się coraz częstsze i dłuższe przestoje, na których do wagonów wchodzili umundurowani Niemcy. Żądali dokumentów i sprawdzali zawartość bagażu, czasami też kazali komuś z nimi wyjść, ale na mnie nie zwracali uwagi. Jeden z kolejarzy spytał, z kim jadę, udałem jednak, że nie rozumiem. Ktoś przetłumaczył mi jego słowa, więc opowiedziałem swoją historię. Niemiec spojrział na mnie ze współczuciem i poszedł dalej. O Żydów na razie nikt nie pytał, ale ciągle jeszcze byliśmy na terenie dawnego zaboru niemieckiego.

W Ostrowie Wielkopolskim postawiono nas na kilka godzin na bocznicę, bo pierwszeństwo przejazdu miały pociągi wojskowe. Miejscomi folksdojczy wykorzystali ten czas na rewizje i myszkowanie w bagażach pasażerów. Bez żenady zabierali ludziom co lepsze rzeczy, ubrania, zegarki, a nawet pierścionki. Kilku pasażerów nie było tak potulnych, jak by sobie tego życzyli przedstawiciele Herrenvolku⁷⁰, więc wyprowadzono ich na rampę, kazano rozebrać się aż do kalesonów i pobito do krwi. Potem musieli jeszcze wykrzykiwać: „Polen kaputt! Rydz-Śmigły Scheisse! Es lebe Hitler!”⁷¹. Mnie jeden z folksdojczy kazał otworzyć plecak, ale niczego w nim nie znalazł. Matka Romka wzięła mnie pod opiekę i pytającym mówiła teraz, że jadę z nimi, co znacznie ułatwiło mi życie.

W końcu w ciemności przetoczono nas na stację, dosiedli się nowi pasażerowie, ale dalej staliśmy. Dopiero nad ranem z ulgą ruszyliśmy do Kalisza, tam jednak ponownie odstawiono nas na boczny tor. Kolejarze uznali, że pociąg jest ponad miarę przepełniony, i chociaż na peronie oraz przed budynkiem dworca tłoczyła się masa ludzi z walizkami i tobołkami, nie pozwalali nikomu się dosiąść.

W kocującym tłumie widać było wielu Żydów. Ktoś w przedziale powiedział, że Żydom jest teraz ciężiej niż Polakom, dlatego masowo uciekają na wschód, do Warszawy i dalej do Rosji.

– Nareszcie Niemcy rozprawią się z tą plagą – odparł mu jakiś mężczyzna.

– Nawet jeśli mamy jakieś porachunki z Żydami, to powinniśmy te sprawy załatwić między sobą – zaprotestowała moja przygodna opiekunka. – Niemcom nic do tego. W tej chwili wszyscy mieszkańcy Polski są polskimi obywatelami.

– W Kaliszu Niemcy pastwią się nad Żydami, ale bliżej Poznania Żydów nie ma i tam załatwiają się z Polakami – wtrącił się pan w okularach. – Doprawdy nie ma się z czego cieszyć.

Byłem wdzięczny mamie Romka za jej uwagę, ale milczałem. Obserwowałem przez okno, jak na peronie umundurowani kolejarze oraz ludzie noszący opaski

⁷⁰ Das Herrenvolk (niem.) – rasa panów. Za tym pojęciem kryła się ideologia nazistowskich Niemiec uznająca, że Niemcy to jedyny naród będący przedstawicielem czystej i idealnej białej rasy.

⁷¹ Polen kaputt! Rydz-Śmigły Scheisse! Es lebe Hitler! (niem.) – Polska kaputt! Rydz-Śmigły ch...! Niech żyje Hitler!

ze swastyką legitymowali i wyprowadzali gdzieś niektórych podróżnych. Od wagonów odczepiono lokomotywę i któryś z pasażerów dobrze znający niemiecki dowiedział się od kolejarza, że będziemy stać tutaj co najmniej pół dnia.

Postanowiłem trochę się przejść i rozprostować kości. Na peronie wychodzący z pociągu ludzie pobierali jakieś kartki od niemieckiego kolejarza, na podstawie których można było wrócić do wagonu, więc też wziąłem jedną. Plac przed stacją jak zwykle wypełniały dorożki, ale teraz nie było wśród nich ani jednego żydowskiego dorożkarza, choć dawniej stanowili chyba większość. Tutaj się urodziłem i dobrze znałem Kalisz z wakacji, które spędzałem u dziadków. Miałem ochotę do nich wstąpić, ale wiedziałem, że nie mogę tego zrobić.

Poszedłem ulicą prowadzącą do miasta, mijając nielicznych przechodniów, i nagle idąca z naprzeciwka młoda, elegancka dziewczyna zawołała mnie po imieniu. Rozpoznałem Dorkę Aszer, koleżankę z Poznania, której nie widziałem od wybuchu wojny. Przez tych kilka miesięcy jakby wydorosła, po raz pierwszy też widziałem ją w kapelusiku i płaszczu, zwykle nosiła gimnazjalny mundurek. Przywitaliśmy się serdecznie; szła na stację po wujka, który miał przyjechać z Łodzi. Podobnie jak ja wyjechała z Poznania pod koniec sierpnia i teraz zarzuciła mnie pytaniami o mnie, o naszych wspólnych kolegów i o to, jak tam wygląda okupacja. Upowiedziałem ją, że gdyby ktoś do nas podszedł, to w podróży uchodzę za Polaka i mam na imię Jurek. I rzeczywiście, w wejściu na dworzec spotkaliśmy Romka. Rozmowa w jego obecności już nie była taka otwarta, ale dalej mówiliśmy o znajomych, tyle że teraz podstawiając pod imiona żydowskie polskie: Marek zamiast Moniek, Ignasz zamiast Icek. Pożegnaliśmy się serdecznym pocałunkiem, co w oczach Romka podniosło mnie o całe niebo.

Umundurowani Niemcy na dworcu i peronie czepiali się niemal wyłącznie Żydów. Takie były nowe okupacyjne normy; Polacy stawali się kozłami ofiarnymi, gdy nas brakowało. Wyłapywano przede wszystkim noszących się ortodoksyjnie mężczyzn z pejsami i brodami lub wyglądających bardziej solidnie i zamożnie. Niektórych bito do krwi, dobrze, jeśli częstowano „tylko” kopniakami i przekleństwami. Od większości żądano pokazania zawartości bagażu, by móc w nim szperać. Co bardziej „podejrzanych” zatrzymywano do osobistej rewizji.

Nadeszła grupa młodych żołnierzy z plecakami. Zrzucili bagaże w kącie poczekalni i zajęli się obserwacją tłumy, wymieniając uwagi i co chwila wybuchając śmiechem. Nagle trzech odłączyło się od towarzyszy i poszło w stronę grupy Żydów. Wyciągnęli z niej dwóch dobrze prezentujących się młodzieńców i grzecznie, bez krzyku, poprosili, by z nimi poszli. Kazali im postawić bagaże obok swoich, zdjąć palta, potem marynarki, swetry i koszule i wszystko to położyć na walizkach. Potem zaczęli im tłumaczyć, co mają zrobić. Ale Żydzi chyba nie rozumieli, bo włączyli się inni żołnierze. Kiedy tamci zaczęli potrząsać głowami, podoficer wyjął pistolet i przyłożył jednemu do głowy. To przekonało obu. Stanęli naprzeciwko siebie jak dwa koguty i przyjęli zapaśniczo-boksyerską postawę. Chwilę jeszcze byli niezdecydowani, ale doping żołnierzy, ich krzyki i groźby zadziały. Młodzi mężczyźni zaczęli okładać się pięściami.

Wszyscy w poczekalni dworcowej patrzyli teraz w ich kierunku. Nawet folksdojczycze ze swastykami na rękawach przerwali przeszukiwanie bagaży i przysunęli się bliżej, by niczego nie stracić z widowiska. Za nimi podeszło wielu Polaków, także ja z Romkiem. Tylko Żydzi odsunęli się pod ściany, a niektórzy wymknęli z hali dworca w obawie, że również ich Niemcy wciągną w tę „zabawę”. Tymczasem dwie ofiary obijały się pięściami, ale nie całkiem szczerze i z widoczną niechęcią. Jeden z żołnierzy kazał im przerwać, zdzielił każdego pięścią, aż się zatoczyli, a jednemu pociekła krew z nosa, i krzyknął coś, czego nie rozumiałem.

Teraz bili się już bardziej serio. Wyglądało, jakby walka ich rozgrzała. Zakrwawiony był widocznie biegły w walce na pięści, bo zadawał szybkie i celne ciosy. Żołnierze i folksdojczycze dopingowali ich, dołączali się też niektórzy polscy widzowie. Wszyscy zachęcali lepszego boksera do wykończenia przeciwnika. W końcu tamten upadł i jeden z żołnierzy zaczął odliczać jak na prawdziwym meczu: „Eins, zwei, drei...”. Kiedy doszedł do dziesięciu, wszyscy chóralnie wrzasnęli: „Zehn”. Odliczający poklepał po plecach tego, który wygrał, i niczym sędzia podniósł w triumfalnym geście jego rękę.

Zwycięzca pochylił się nad pokonanym, potrząsał nim i klepał go po policzkach. – Panowie, trochę wody – krzyknął w stronę publiczności.

Ktoś podał mu butelkę i tamten obmył leżącemu twarz. Podeszła jakaś na sportowo ubrana pani i też pomagała go otrzeźwić.

Zemdliło mnie trochę. „Przecież mnie też mogliby tak zmusić do bitki z najlepszym kolegą”, pomyślałem. Wyglądało jednak na to, że większość publiczności w ogóle nie myślała takimi kategoriami. Postrzegali walkę jako urozmaicenie podróży, tak jakby okupacyjna rzeczywistość nie dawała im dość rozrywki, choć w tej zabawie sami przecież odgrywali główną rolę. Chciałem odejść, pamiętając, że moim zadaniem jest dowieźć siebie i rodzinny skarb w bezpieczne miejsce, ale Romek zatrzymał mnie.

– Chcę zobaczyć, co zrobią z bokserami – powiedział.

Pobity stał na niepewnych nogach, a mężczyzna, który wygrał, wyciągnął z plecaka ręcznik i obcierał go z krwi. Potem pomógł mu się ubrać, coś do niego szepcząc, chyba go przepaszając i tłumacząc się. Żołnierze tymczasem zebrali między sobą kilka pudełek papierosów, konserw oraz jakichś torebek i wręczyli zwycięzcy. Mężczyźni zabrali swoje manatki i odeszli w kąt hali.

W dalszą drogę ruszyliśmy dopiero po kilku godzinach. Zdrzemnąłem się trochę w swoim kącie wagonu i późną nocą, bez specjalnych wypadków, dojechałem do Łodzi Kaliskiej. Na dworcu odczekałem do świtu, pożegnałem się z moimi przygodnymi towarzyszami podróży i wsiadłem do tramwaju, by dojechać do znajomych na ulicę Pomorską. Chciałem u nich trochę odpocząć. Tramwaj zatrzymywał się na przystankach i zauważyłem, że żaden Żyd nie wsiada do wagonu. Wszyscy chodzili pieszo, ale nie wpadło mi do głowy, że wynikało to z niemieckiego zakazu.

Znajomi rodziców przyjęli mnie ładnie, ale z miejsca powiedzieli, że najlepiej będzie, jeśli natychmiast wrócę na stację i pojedę do Warszawy. W mieście stale organizowane są łapanki i nawet pozostanie w domu nie gwarantuje bezpieczeństwa, bo z mieszkań też wyciągają ludzi. Od mojego wrześnieowego pobytu w Łodzi sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu. Niemcy, głównie folksdojczycze, zajmują dowolne mieszkania i w ciągu kilku minut wyrzucają prawowitych lokatorów. Z okolic ulicy Piotrkowskiej, w centrum miasta, usunięto niemal wszystkich Żydów i Polaków. Z Reichu przyjechało wielu Niemców i przejmują najważniejsze przedsiębiorstwa. Ludzi łapią do potrzebnych i niepotrzebnych prac, których głównym celem jest znęcanie się. Każdy nieskonfiskowany jeszcze żydowski sklep musi być oznaczony gwiazdą Dawida. Mówią, że Żydzi w przyszłości będą musieli naszyć na odzież specjalne oznaczenia: złote gwiazdy i że wydzielią odrębną dzielnicę żydowską na Bałutach. Wielu młodych, czasem nawet całe rodziny uciekają na wschód, do Warszawy lub dalej do Związku Radzieckiego.

Gospodarze poczęstowali mnie skromnym śniadaniem, bo aprowizacja wyglądała w Łodzi o wiele gorzej niż w Poznaniu, rozgrzałem się trochę herbatą i mimo zmęczenia wyszedłem na ulicę. Znajomi nie chcieli kompromitować mnie swoją „żydowską” obecnością, więc nie odprowadzali mnie, ale pani domu szła za mną w pewnej odległości i z daleka obserwowała, jak wsiadam do tramwaju.

Na dworcu panował tłok. Pociągi jeszcze nie kursowały regularnie i podróżni koczowali, czekając na skład, który szedłby w odpowiednim kierunku. W tłumie było wielu młodych Żydów ze skromnym bagażem i domyślałem się, że celem wielu z nich nie jest Warszawa, ale miasta za nowym kordonem granicznym: Białystok, Lwów czy Wilno. Pamiętając o swoim zadaniu, nie podeszedłem do nich, ale wyszukałem wzrokiem stojącą najbliżej grupę Polaków i spytałem, kiedy będzie pociąg do Warszawy.

– Nie wiadomo. Jak przyjedzie, to będzie – odparł jakiś mężczyzna. – Biletu też nie warto kupować, bo porządku nikt nie pilnuje i można jechać bez niego.

Podziękowałem mu, ale uznałem, że w razie kontroli nie powinienem dodatkowo narażać się jazdą na gapę. Poszedłem do kasy i stanąłem w niedługim ogonku.

Także tutaj, podobnie jak w Kaliszu, niemieckie hienny szukały łatwego łupu. Chodzili we dwóch, trzech po dworcu i przeprowadzali rewizje, zabierając ludziom co bardziej wartościowe rzeczy. Nie ograniczali się do Żydów, nie gardząc także Polakami, czasami zadowalając się łapówką. Co kilkanaście minut w hali wybuchała panika, bo ktoś przychodził z wiadomością, że podstawiają pociąg. Wszyscy chwyтали wtedy swój dobytek i biegli na wskazany peron, tłocząc się na nim i czekając, by po jakimś czasie wracać rozczarowani do poczekalni.

Przysunąłem się do dwóch solidnie wyglądających panów w średnim wieku i znów zapytałem o odjazd pociągu do Warszawy. Oczywiście nie wiedzieli, ale okazało się, że również jadą do stolicy. Wywiązała się rozmowa i jak zwykle pytali: Skąd? Dokąd? Dlaczego tam jądę? Jak wygląda okupacja w poznańskim? Mojego opowiadania wysłuchali ze współczuciem i jeden z nich zapytał, co zrobię

po odnalezieniu ojca albo gdy go nie znajdę. Nie byłem na to przygotowany, więc odparłem, że oczywiście wrócę do domu.

– Chłopcze, to nie jest takie proste! – stwierdził. – Nową granicę Rzeszy Niemcy przecież zamkną. Nie wiadomo też, czy pod dotychczasowym adresem znajdziesz mamę z rodzeństwem. Mówiłeś, że Niemcy zaczęli już wysiedlać z Poznania. To może przydarzyć się także twoim bliskim.

– W domu nie myśleliśmy o takiej ewentualności – powiedziałem – ale mam adres dalekich krewnych w Warszawie. W razie czego przez nich dowiem się o losach rodziny. Teraz przede wszystkim muszę poszukać ojca. Może jest w potrzebie i potrzebuje pomocy?

Moja odpowiedź spodobała im się i ten, który mnie pytał, otworzył torbę i poczęstował mnie jabłkiem.

– Jedz, to z mojego ogródka. Myślę, że w przyszłym roku już Niemcy będą je zrywać. Nie tylko w poznańskim będą wysiedlenia.

Rozmowa potoczyła się na tematy ogólne. Jak wszyscy, także oni uważali, że wiosną na zachodzie zaczną się działania wojenne, ale młodszy, który sprawiał wrażenie byłego oficera, był przekonany, że wojna potrwa dłużej.

– Możliwe, że Rosjanie aktywnie włączą się po stronie Niemiec – powiedział. – Na pewno zechcą wziąć udział w nowym podziale Europy.

Starszy zgadzał się z nim, ale uważał, że wartość bojowa Armii Czerwonej jest mała.

– Na pewno słyszał pan o ich wyposażeniu. Ci, którzy wrócili z Buga, opowiadają, że karabiny noszą na sznurkach. Żołnierze i oficerowie, jak weszli do naszych miast, to wykupili w sklepach wszystko, co mogli. Od lat żyją w takiej nędzy, że właściwie nie mają o co się bić – perorował. – Gdybyśmy mieli do czynienia tylko z nimi zatrzymalibyśmy się dopiero za Moskwą. We wrześniu odegrali rolę hien: rzucili się na ciężko rannego i bez walki zajęli pół Polski.

Słuchałem ich rozmowy z zaciekawieniem. Dla Polaków i III Rzeszy, i Związek Radziecki byli równorzędnymi wrogami, ale z mojego żydowskiego punktu widzenia śmiertelne niebezpieczeństwo stanowiły tylko Niemcy. Według hitlerowskiej teorii Żydzi w ogóle nie byli ludźmi, a ideologia rosyjskiej doktryny klasowej na pewno nie była wygodna dla moich rodziców, ale dawała nadzieję, że jako Żydzi możemy w tym kraju wegetować i jakoś przeżyć. Te tłumy Żydów z terenów okupowanych przez Niemców, które widziałem na dworcach w Kaliszu czy Łodzi, nie uciekały na drugą stronę Bugu z powodu sympatii do komunizmu, ale przed rasowymi prześladowaniami. Przysłuchując się poznanym mężczyznom, rozumiałem jednak, że Polacy widzą te sprawy inaczej i masową ucieczkę Żydów do Związku Radzieckiego tłumaczą sobie chęcią współpracy z drugim okupantem.

Pociąg do Warszawy podstawiono dopiero późnym popołudniem. Szturmowały go tłumy i ludzie pchali się drzwiami i oknami. Ja trzymałem się moich nowych znajomych. W trójkę dopadliśmy do okna wagonu, podsadzili mnie i podali swoje bagaże, żebym zajął miejsca, a potem młodszy podsadził swojego

towarzysza i sam wdrapał się do środka. Drzwiami już pchali się ludzie i przedział szybko się wypełnił.

Na przestrzeni przewidzianej na ośmiu pasażerów siedziało i stało teraz kilkanaście osób wraz z bagażami, które poupychano na półkach, pod ławkami albo między nogami. Wśród stojących znalazło się kilku młodych Żydów i jeden z siedzących mężczyzn zaczął utyskiwać, że tacy wszędzie się wcisną.

– Trzeba wezwać służbę kolejową i usunąć tych gudłajów!

– Jeżeli ktoś uważa, że Żydów należy się pozbyć, nie powinien im przeszkadzać w wyjeździe z miasta – rzucił kąśliwie jakiś starszy pan.

– Niech idą pieszo, pociągi są dla nas!

– Ma pan rację: specjalne pociągi wożą wysiedlonych Polaków znad Warty nad Wisłę – wtrącił prowokacyjnie mój przygodny towarzysz wyglądający na oficera i powołał się na mnie.

To przestawiło rozmowę na nowe tory. Nie byłem z tego zadowolony, bo jako uciekinier z Poznania musiałem teraz odpowiadać na pytania. W przedziale niemal wszyscy byli z Łodzi lub okolic, tylko dwaj Żydzi jechali z Kalisza i również opowiadali o rugowaniu Polaków z domów. Na razie były to jeszcze wypadki sporadyczne, ale wszyscy rozmówcy byli przekonani, że Niemcy nie będą się liczyć z Polakami. W każdym miasteczku przeprowadzono już egzekucje, które objęły nawet księży. Tłumy przewalające się przez stacje kolejowe sprawiały wrażenie, jakby pół Polski było na kołach. Nie wszyscy uciekali, niektórzy jechali do krewnych na wsi, wioząc towary i odzież na wymianę. Większości zakładów przemysłowych w Łodzi jeszcze nie uruchomiono, aprowizacja była fatalna, a różnice w cenach żywności między miastem a wsią ogromne, więc ludzie mimo ryzyka brali się do szmuglu.

Nasz pociąg ruszył dopiero o zmroku i po krótkiej jeździe zajechaliśmy w ciemności na obskurną stację węzłową, jaką były Koluźki. Okazało się, że dla części pasażerów jest to stacja końcowa, inni przesiadali się i w przedziale się rozluźniło, ale w miejsce poprzednich zaraz pojawili się nowi podróżni. Jako rzecz zupełnie naturalną przyjęliśmy fakt, że znów przetoczono nas na bocznicę.

Pół godziny staliśmy spokojnie, aż odkryli nas folksdojczce. Na początku niemieckiej okupacji byli chyba największą plagą na wszystkich polskich stacjach kolejowych. Pod pozorem szukania wrogów i handlujących żywnością spekulantów ogałali każdego, kto wyglądał nieco zamożniej. Niektórzy z nich nosili karabiny i kolbami bili „podejrzanych”. Zjawili się także w naszym przedziale. Żydom kazali wyjść na rampę i tam przeprowadzili dokładną rewizję ich ubrań i bagaży, zabierając co lepsze sztuki odzieży. Pozostali musieli na miejscu otworzyć bagaż, od niektórych zażądali okazania dokumentów. Mnie uznali chyba za syna jednego z moich towarzyszy, bo ledwo raczyli zajrzeć do plecaka. Dokumenty któregoś z pasażerów wydały im się podejrzane i zabrali go do budynku stacyjnego. Żydów z peronu po kilku szturchańcach wepchnęli z powrotem do wagonu, ostrzegając, żeby nie wazyli się wracać do Łodzi.

– Między nami mówiąc, ich rada jest dobra dla panów – odezwał się „mój oficer”, kiedy zostaliśmy sami. – Warto wam zostać w Warszawie.

– Prawdą jest, że dla Żyda nie ma miejsca w Łodzi czy w Kaliszu, ale nie jestem pewien, czy jest miejsce w Warszawie – odparł jeden z nich.

– W zachodniej Polsce, którą włączyli do Reichu, nie ma miejsca dla Żyda – przyznał „oficer” – ale Warszawa na razie jest dla Polaków, więc nie przeszkadza im, że będą tam mieszkać także Żydzi.

– Jeżeli jest pan łaskaw rozmawiać tak szczerze, to moim zdaniem nie jest takie pewne, że oni chcą tu widzieć Polaków – powiedział tamten. – W Kaliszu z co lepszych ulic wyrzucili już wiele polskich rodzin i mówią o sprowadzeniu Niemców z krajów bałtyckich. Ich rasistowskie teorie nie ograniczają się tylko do nas.

– To prawda, ale na razie zabrali się do was. Jeżeli w Warszawie też będzie źle, jadą panowie dalej?

– Sam jeszcze nie wiem. Zorientujemy się na miejscu.

Ludzie dość otwarcie opowiadali o swoich bolączkach i poczułem wyrzuty, że nie mówię o sobie prawdy. Ale odrzuciłem tę myśl: przecież nikogo moim kłamstwem nie krzywdzę.

Rozmowa zesłała na przyczyny przegranej wojny. Przeważała opinia, że zdradzili nas alianci, którzy zamiast uderzyć na Niemcy, siedzieli bezczynnie na Linii Maginota i przyglądali się agonii Polski. Inni byli przekonani, że Niemcy mieli swoich szpiegów w sztabach armii i we władzach państwa i to oni sprzedali kraj. Jednym głosem za to mówiono o bohaterstwie prostych żołnierzy, którzy z lancami na koniach atakowali niemieckie czołgi.

Rozmówców podzielił temat Żydów. Większość była zadowolona, że Niemcy eliminowali nas z życia gospodarczego, ale inni uważali, że po rozprawieniu się z Żydami okupanci to samo zrobią z Polakami. Z czego więc się cieszyć? Widać jednak było, że niemiecka propaganda antyżydowska znalazła w Polsce chętnych słuchaczy. „Polska bez Żydów” czy „odżydzenie handlu” nie były hasłami wymyślonymi przez Niemców. Przedwojenne partie prawicowe przygotowały grunt dla niemieckich teorii na temat niższości rasowej Żydów, które teraz przyjęto ze zrozumieniem. Tym samym rozmówcom trudno jednak było przyjąć twierdzenia o wyższości Germanów wobec nich samych. Obojętnie dyskutowano o łapaniu Żydów na upokarzające roboty czy o obcinaniu im bród, kiedy jednak ktoś zauważył, że podobno w Płocku wszyscy Polacy muszą przed każdym napotkanym Niemcem zdejmować czapkę i kłaniać mu się w pas, większość przedziału była szczerze oburzona.

Pociąg ruszył z Kolaszek dopiero po północy, ale na dłużej zatrzymał się jeszcze tylko w Skierniewicach, tak że nad ranem zajechaliliśmy do Warszawy. Wielki dworzec kolejowy leżał w gruzach, robiąc ponure i groźne wrażenie. Odsiedziałem z moimi towarzyszami do rana i kiedy minęła godzina policyjna, pożegnaliśmy się. Przeprowadziłem przechodniów, gdzie jest ulica Pańska, i włączyłem się w tłum idących w tamtym kierunku przyjezdnych.

Maszerowałem z jakąś młodą parą wyglądającą na małżeństwo, mieszkającą gdzieś na Mokotowie. Obiecali, że powiedzą mi, w którym miejscu mam skręcić w Pańską, a ja zaofiarowałem się, że poniosę jedną z ich walizek. Moi przewodnicy opowiadali, jak Warszawa wyglądała przed oblężeniem, bo mijaliśmy wiele ruin. Pierwszy raz w życiu oglądałem zniszczone miasto. Zbombardowane kamienice jak w przekroju odsłaniały swoje wnętrza od parteru aż do piątego czy szóstego piętra, na niektórych stały jeszcze szczątki mebli. Część domów trzymała się jakby wbrew prawom fizyki, a występy górnych pięter nienaturalnie sterczały w powietrzu i jasne było, że prędzej czy później muszą się zawalić. W Poznaniu opowiadano sobie dużo o zniszczeniach stolicy, ale teraz ten widok zrobił na mnie potężne wrażenie.

Walizka okazała się dość ciężka i spocilem się, dźwigając ją, ale na szczęście na jakimś placu małżeństwo powiedziało, że tutaj się rozstajemy. Mam przeciąć skwer i ulicą Towarową dojdę do Pańskiej. To nie tak daleko. Ruszyłem we wskazanym kierunku już lekkim krokiem, zadowolony, że nikogo więcej nie muszę pytać o drogę, i po kilku przecnicach stałem na rogu Pańskiej, a wkrótce dotarłem pod numer 25. Teraz dopiero zauważyłem, że budynki są tu wyższe niż w Poznaniu, a każdy dom stanowi swego rodzaju zaułek. Wchodzi się przez bramę i z podwórza, przypominającego głęboką studnię, jest wejście do kilku klatek schodowych. Sam numer domu nie wystarczał, bym trafił do Szajnow. Było jeszcze wcześniej i musiałem czekać, aż ktoś wyjdzie.

Pierwsza pojawiła się jakaś żydowska dziewczynka i wskazała mi ich mieszkanie: w ostatniej oficynie na lewo, na parterze. Zapukałem i po opowiedzeniu się, kim jestem, otwarto mi drzwi. Państwo Szajnowie byli rodzicami Heńka, narzeczonego mojej ciotki Hanki, który jeszcze był w Poznaniu. Znali mnie z opowiadań oraz listów Heńka i przyjęli serdecznie. Wyrazili tylko zdziwienie, że rodzice wysłali mnie samego w podobną drogę w tak niebezpiecznym czasie.

Na piecu stanął duży garnek, w którym zagrzano wodę, żebym mógł się umyć, i podano mi śniadanie. Mieszkanie Szajnow stanowił jeden wielki pokój. Obok drzwi stał duży kaflowy piec kuchenny, a reszta przestrzeni podzielona była lekkimi parawanami na komórki, ponieważ mieszkało tam też kilku sublokatorów. Prócz Heńka z całej rodziny znałem jeszcze jego siostrę Lońkę, która przed rokiem spędzała u nas wakacji, teraz jednak już jej nie było: zaraz po kapitulacji uciekła za Bug⁷².

W Poznaniu nie znałem rodzin mieszkających w podobnym tłoku i wydawało mi się, że tamtejszy styl życia i jego poziom są powszechne dla całej Polski. Dopiero po wybuchu wojny w Łodzi, a teraz w Warszawie zetknąłem się z żydowską biedą i ludźmi na co dzień mówiącymi po żydowsku. Znałem wprawdzie z geografii podział kraju na strefy A i B, ale to były książkowe wiadomości. Byłem jednak dzieckiem i takie wspólne mieszkanie wydało mi się nawet ciekawe. Wszyscy domownicy u Szajnow byli starsi ode mnie i wszyscy pracowali,

⁷² Noach Lasman: „Dziwnym zrzędzeniem losu spotkałem Lońkę po dwudziestu latach w Izraelu, dokąd przyjechała z armią Andersa”. *Przez okupowaną Polskę*, s. 17, w: *Obrazy z ciemności*.

a niektórzy uczyli się równocześnie na jakichś kursach. Interesowało ich wszystko i każdy na każdy temat miał swoje zdanie. Od razu zarzucono mnie pytaniami o to, jak wygląda okupacja w Poznaniu, mimo że tylko główni lokatorzy mieli tam kogoś bliskiego. Z moich odpowiedzi wyciągali daleko idące wnioski. Kiedy opowiedziałem o panującej w mieście atmosferze strachu przed wysiedleniem, ktoś z miejsca zauważył, że nie sprzyja ona przywróceniu normalnych warunków i że Niemcy sami przyczyniają się do demoralizacji produkcji, osłabiając w ten sposób wartość zdobytych terenów. Masowe aresztowania tłumaczyli znów obawą hitlerowców przed zorganizowanym oporem.

Wszyscy żyli jeszcze pod świeżym wrażeniem oblężenia stolicy. Opowiadali o głodzie, braku wody, ale najwięcej o uczuciu bezradności, jakie zapanowało w Warszawie w okresie jej zmasowanego bombardowania przez lotnictwo i artylerię. Ich dom na szczęście nie został naruszony i nikt z bliskich nie zginął. Teraz młodzi stali jednak przed dylematem: uciekać na wschód czy nie?

Wśród ludzi krążyły sprzeczne pogłoski. Jedni mówili o rychłym wycofaniu się Niemców z Warszawy i nadejściu Rosjan, podając coraz to nowe terminy, gdy drudzy opowiadali, że Niemcy opróżnili aleję Szucha oraz inne reprezentacyjne ulice z polskich mieszkańców, żeby umieścić tam rodziny okupacyjnych funkcjonariuszy.

– Nie wiadomo, kto rozpowszechnia te pogłoski – opowiadali gospodarze – wygląda jednak na to, że linia demarkacyjna utrwaliła się na Bugu. Przed kilku dniami wszyscy mieszkańcy Warszawy musieli przekazać policji swoje aparaty radiowe. Krążą uporczywe pogłoski, że zostanie stworzone getto dla Żydów, co znaczy, że część z nas będzie musiała opuścić swoje mieszkania. Podobno mają je zająć Polacy wysiedlani z zachodniej Polski.

– W Łodzi mówią podobnie, z tym że tam mają opróżniać mieszkania dla Niemców – zauważyłem.

Teraz była już połowa listopada i Warszawa powoli wracała do życia, ale nikt z Szajnow i ich lokatorów nadal nie miał stałej pracy.

– Za Bugiem podobno jest inaczej – wtrącił któryś z sublokatorów. – Komuniści rozwiązali problem bezrobocia, nauka jest bezpłatna, a państwo gwarantuje każdemu niezbędne minimum.

Wszyscy mówili o sowieckiej stronie okupacyjnej niemal jak o raj, ale większość młodych skłaniała się ku opcji, by za Bug nie uciekać. Nie chcieli rozstawać się z rodzicami, a wojna – przekonywali się wzajemnie – na wiosnę się skończy.

Pani Szajn spytała, jakie są moje plany i kiedy ruszę dalej.

– Jutro rano pójdę na stację kolejową i złapię pociąg do Siedlec – powiedziałem.

– Jutro jest 11 listopada, Święto Niepodległości – zwróciła mi uwagę. – Ludzie mówią, że Niemcy zaostrzą kontrole, mogą być też łapanki i aresztowania. Lepiej poczekać tutaj dzień lub dwa. Przecież nikt cię tam nie oczekuje i możesz odpocząć.

Było mi u nich przyjemnie, czułem wokół siebie życzliwych ludzi i doprawdy – pomyślałem – należy mi się jakiś odpoczynek. Zgodziłem się. Położyli mnie spać i wstałem dopiero, kiedy na dworze zapadał mrok.

Wieczorem wyciągnąłem wiktuały z plecaka i ofiarowałem gospodyni. Siedliśmy przy naftowej lampie i zjedliśmy skromną kolację, a rozmowa potoczyła się wokół okupacji i optymistycznych plotek, które były życzeniem mówiących. Według nich wojna na Zachodzie, o której oficjalnie milczano, nadal się toczyła, alianci zniszczyli już przemysł w Zagłębiu Ruhry i przekroczyli Ren, a w niektórych dywizjach niemieckich żołnierze zbuntowali się i utworzyli rady. Wierzono w bajki, bo sytuacja wokół była nie do zniesienia. Podobno – i w to bardziej wierzyłem – przed jutrzejszą rocznicą Święta Niepodległości Niemcy wzięli kilkuset zakładników, a na mieście zwiększono liczbę patroli. Jedni mówili o planowanych dużych manifestacjach, inni znów o tym, że ten dzień uczci się, właśnie siedząc w domach.

Przyszli sąsiedzi i przynieśli wiadomości, że ich krewni uciekli z Ostrowi Mazowieckiej, tak jak stali. Miasto włączono do Rzeszy i Niemcy podobno pognali wszystkich Żydów w kierunku pobliskiej granicy z Rosją. Ich krewnym udało się przedostać do Warszawy, ale teraz sami chcą jechać za Bug. Nie widzą tutaj dla siebie żadnej przyszłości i żałują, że uciekli. Może władze sowieckie przyjęłyby ich lepiej, gdyby zostali wygnani przez Niemców?

Ktoś stwierdził, że nie warto uciekać, bo niedługo Rosjanie sami tu przyjdą. Przecież Kongresówka ponad wiek była częścią Rosji i bolszewicy na pewno zażądadają tych terenów. Ktoś inny zaproponował.

– Dzisiaj żadne granice nie obowiązują i Niemcy z Sowietami zagarnęły tyle, ile każdy mógł. Nowe granice Reichu w żadnym punkcie nie pokrywają się z linią graniczną z 1914 roku. Zwycięzcy tasują nowe karty i już – zauważył. Większość zgodziła się jednak, że różnice ideologiczne między Niemcami i Sowietami są ogromne i jeśli w przyszłości dojdzie do spięcia między nimi, nasi okupanci poniosą klęskę.

Na razie jednak Szajnowie i ich sąsiedzi nie wiedzieli nawet, jak zdobyć minimum na dzień jutrzejszy. Jeszcze kilka tygodni temu sztuką było kupić żywność, teraz problemem było zdobycie pieniędzy. Na razie wszyscy oni żyli z ulicznej sprzedaży własnej garderoby, ale ceny żywności w Warszawie były już dwa, trzy razy wyższe niż przed wojną i zmieniały się z dnia na dzień.

Poszliśmy spać późno, z myślą, że jutrzejszy dzień przesiedzimy w domu. Dla mnie pościelono na podłodze, na dywaniku. Rano po śniadaniu przyszli jednak synowie sąsiadów z wiadomością, że byli już na mieście i wszędzie panuje spokój. Dotarli aż na Marszałkowską i widzieli większe patrole, ale łapanek nie ma.

– Skoro tak, pójdę obejrzeć miasto – powiedziałem.

Szajnowie oczywiście sprzeciwiali się, ale nie chciałem zrezygnować. W końcu ustaliliśmy, że pójdę niedaleko i w towarzystwie jednego z synów ich sąsiadów, chłopaka w moim wieku o imieniu Fromke, szczupłego i wysokiego jak tyczka.

Był chłodny, ale słoneczny dzień i ulice z nielicznymi przechodniami, mimo gruzu, który miejscami walał się na chodnikach, wyglądały świątecznie. Fromke opowiadał, jak Warszawa wyglądała w normalnych czasach, zanim życie zamarło. On terminował w warsztacie blacharskim, a jego brat w krawieckim, ale od

wybuchu wojny nie pracują. W podobnej sytuacji są także polscy rzemieślnicy i nawet przemysł. Całe miasto przymusowo próżnuje i nie zarobkuje, choć wielu mieszkańców pracuje, bo mężczyźni łapią do robót przy uprzątnięciu gruzu. On z bratem myślą o pójściu za Bug, a krewni namawiają ich do tego, ale oni się wahają, bo jak mogliby zostawić rodziców samych? Zazdrościł mi, że cała moja rodzina wybiera się na wschód. Było dla niego jasne, że jedziemy do Łosic, żeby przekroczyć pobliską granicę. Inaczej po co wybralibyśmy to miejsce?

Skręciliśmy w jakąś ulicę, gdzie zniszczenia były większe. Zauważyłem na kilku skwerach rozkopaną ziemię i wetknięte w nią krzyże. Fromke objaśnił, że to tymczasowe groby. Doły kopano jako schrony przeciwlotnicze, ale w czasie oblężenia wykorzystano je do grzebania ofiar bombardowań.

– Kiedyś Niemcy przeniosą je pewnie na cmentarz, ale na razie chcą, żebyśmy długo mieli przed oczami skutki oporu – powiedział.

Zauważyłem na murach plakaty. Przedstawiały polskiego żołnierza z ręką na temblaku na tle ruin miasta. Mówił do odwróconego plecami Chamberlaina: „Anglio! – to twoje dzieło!”

Skręciliśmy z Alei Jerozolimskich, gdzie przechodniów było już więcej, w Nowy Świat i od razu natknęliśmy się na dwóch niemieckich żołnierzy, obok których stało dwóch podenerwowanych mężczyzn. Zatrzymali nas i jeden powiedział do mnie: „Komm mit uns!”⁷³, a drugi odepchnął Fromkego, każąc mu odejść. Wszystko stało się tak nagle, że nie zdążyliśmy nawet zamienić słowa. Fromke uszczęśliwiony uciekł, ale byłem pewien, że z daleka obserwuje sytuację.

Złapani przede mną niczego nie potrafili wyjaśnić, bo też zatrzymano ich dopiero przed chwilą. Żołnierze schwyтали jeszcze dwóch mężczyzn w średnim wieku, po czym poprowadzili nas na dziedziniec jakiegoś pobliskiego budynku. Pod strażą dwóch Niemców stała tam już spora grupa mężczyzn w różnym wieku. Nasi „myśliwi” zostawili nas i znów poszli na polowanie. Złapani rozmawiali podenerwowani, ale nikt nie wiedział, o co chodzi. Pojawiły się domysły. Ktoś wyraził przypuszczenie, że łapanka jest związana ze Świętem Niepodległości, a my jesteśmy zakładnikami, co wydawało się logiczne. Inni w to wątpili, bo w grupie było też kilku nieletnich. Ja spostrzegłem, że żaden z mężczyzn nie wyglądał na Żyda, i skojarzyłem to z Fromkem, którego żołnierze puścili wolno – chyba właśnie dlatego, że rozpoznali, kim jest. Zastanawiałem się, czy podejść do żołnierzy i wytłumaczyć im, że jestem Żydem; może mnie zwolnią? Odrzuciłem jednak od siebie tę myśl. Niemcy mogli poczuć się urażeni tym, że mnie nie rozpoznali, i kto wie, mogliby mnie skatować albo nawet zabić. Bałem się.

Nasi wartownicy zachowywali się znośnie, nie krzydzeli i nie bili, nie chcieli jednak wysłuchiwać żadnych tłumaczeń i kazali nam czekać. Wreszcie skompletowali jakieś pięćdziesiąt osób, samych mężczyzn, ustawili nas trójkami i pod eskortą ruszyliśmy naprzód.

⁷³ Komm mit uns (niem.) – Chodźcie z nami.



Warszawa, zniszczona bombardowaniami podczas oblężenia miasta ul. Nowy Świat, jesień 1939. Ze zbiorów Ośrodka Karta

Szliśmy jezdnią i nieliczni przechodnie przyglądali się nam z litością. Ktoś kogoś rozpoznał i krzyknął, że zawiadomi rodzinę. Kilku wyrostków ruszyło w bezpiecznej odległości za nami, by zorientować się, dokąd nas prowadzą; widocznie sądzili, że biorą nas jako zakładników.

Rozglądałem się, szukając okazji do ucieczki, i czułem, że inni też o tym myślą, ale wymknięcie się było niemożliwe. Ośmiu uzbrojonych Szwabów prowadziło nas środkiem niemal pustej ulicy i nie było wątpliwości, że w razie próby ucieczki zaczną strzelać. Wreszcie wprowadzono nas do dużego budynku. Weszliśmy przez bramę na wybrukowany płytami dziedziniec, przecięliśmy plac i przez ogromne dwuskrzydłowe drzwi dotarliśmy do hallu. Tutaj pozwolono nam stanąć luzem i cicho rozmawiać.

Wkrótce weszli dwaj oficerowie, z których jeden, jak się okazało, mówił po polsku całkiem poprawnie, ale z twardym niemieckim akcentem. Stanęliśmy przed nimi zwartą gromadą i tamten odezwał się donośnym głosem:

– Nie sprowadzono was tutaj do pracy, nie musicie się niczego obawiać – mówił. – Nasi naukowcy przyjechali do Warszawy aż z Berlina, żeby ustalić, jakie rasowe stosunki panują na tych terenach. Przeprowadzą na was badania, pomierzą co trzeba i zapiszą, a potem was zwolnimy. Niemiecka nauka jest obiektywna i dlatego nikogo nie będą pytać o żadne dane. Wszystko robimy tylko dla wiedzy. No i te badania nie są bolesne – zażartował. – A na razie czekajcie, dostaniecie coś ciepłego do jedzenia i picia.

Wyszli i wszyscy odetchnęli z ulgą. Wszyscy, ale nie ja. Od razu pomyślałem, że takie badanie może być związane ze spuszczeniem spodni, a wtedy nie trzeba być antropologiem, żeby poznać, kim jestem. Dotychczas obrzezanie było mi obojętne, teraz pierwszy raz w życiu pomyślałem o nim jako o kompromitującej i demaskującej sprawie.

Dwaj żołnierze wnieśli do hallu kociołek słodzonej herbaty oraz blaszane kubki, potem kosz pełen kanapek. Utworzył się ogonek i każdy pobrał swoją porcję. Chleb był posmarowany margaryną, której u nas w domu nie używano. Jadłem ją pierwszy raz w życiu.

Usiadłem na schodach obok sympatycznego starszego mężczyzny, który spytał, gdzie mieszkam. Odparłem, że w Warszawie znalazłem się przejazdem i przypadkiem mnie złapano.

– Jestem Żydem i strasznie się boję – zwierzyłem mu się nagle.

– Nie ma czego, to jest tylko badanie, potem nas puszczą – pocieszył mnie.

– A jak całą spuścić spodnie? Od razu zauważą, że jestem obrzezany.

– Cholera, nie pomyślałem o tym – zafrasował się. – Jeszcze nigdy żaden antropolog mnie nie badał, ale zdaje się, że dla nich ważna jest tylko głowa. A jeżeli całą się rozebrać, zasłoń sobie siusiaka dłonią. To normalny odruch każdego człowieka, a do tego ty jesteś chłopcem i wolno być ci bardziej wstydlivym. Nie martw się na zapas – uspokajał mnie. – W razie czego możesz też powiedzieć, że w dzieciństwie miałeś zapalenie czubka i musieli cię operować. Wiem, że takie wypadki się zdarzają.

Wkrótce Niemcy wezwali do przyległego pokoju pierwszą czwórkę mężczyzn. Po kilku minutach zabrali następną czwórkę, ale z pierwszej nikt nie wrócił i nie mogłem się dowiedzieć, jak wygląda badanie. Znow zacząłem się denerwować i poprosiłem mojego towarzysza, żebyśmy weszli razem, a on w razie potrzeby zaświadczył, że mnie zna. Zgodził się.

Znaleźliśmy się może w dziesiątej czwórce. Przy dużym, zastawionym jakimś przyrządami stole stało dwóch wyglądających na inteligentów cywilów w średnim wieku oraz oficer, który do nas przemawiał, a teraz służył za tłumacza. Cywile dyktowali jakieś dane drugiemu oficerowi, który siedział za stołem i zapisywał je w dużym zeszytce. Ostatni z czwórki poprzednich mężczyzn, w samych kalesonach i podkoszulku, wchodził właśnie na wagę, która stała pod ścianą, i tamci zaczęli go ważyć i mierzyć. Nam kazano zdjąć marynarki i spodnie i przygotować się do badań. Odetchnąłem, bo nie musiałem rozbierać się do naga. Ukradkiem zdjąłem z szyi woreczek z kosztownościami i przełożyłem go do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Badany musiał usiąść na krześle, a jeden z cywilów, patrząc mu na twarz, dyktował piszącemu swoje spostrzeżenia na temat kształtu głowy, uszu, nosa, koloru oczu i włosów. Po nim drugi mikrometrem mierzył grubość włosów, a cyrklem długość i szerokość nosa i uszu, badał rozstaw oczu oraz długość i szerokość oczodołów. Po wymierzeniu czoła panowie zabierali się do mierzenia długości kości rąk: od ramienia do łokcia i do przegubu dłoni, a potem to samo z kośćmi każdego palca. Następnie sprawdzali obwód ciała w okolicach miednicy oraz klatki

piersiowej, pobierali wymiary kości nóg oraz określali owłosienie na nogach i piersiach. Wreszcie po ważeniu i mierzeniu delikwent mógł się ubrać i wyjść wolny tylnymi drzwiami.

Mnie wzięli pierwszego z naszej czwórki. Z danych osobistych spytali mnie tylko o wiek. Zdziwili się trochę, że jestem taki niski, ale przeprowadzili wszystkie rutynowe badania. Z tego, co powiedzieli, zrozumiałem, że określili mnie jako mieszkańca nordycko-wschodniosłowiańskiego z elementami laponoidalnymi, które usprawiedliwiały mój niski wzrost. Nie wiedziałem, co to znaczy „elementy laponoidalne”, ale najważniejsze dla mnie było, że nie znaleźli we mnie niczego semickiego. Mogłem się ubrać i wyjść.

Na dworze poczekałem na starszego pana i podziękowałem mu za podtrzymanie mnie na duchu. Uszliśmy razem może sto metrów, gdy zobaczyliśmy grupę kobiet prowadzonych pod eskortą, zapewne dla tych samych niemieckich celów naukowych, którym także my posłużyliśmy.

Dom Szajnow przy Pańskiej odnalazłem już bez większych przygód. Wszyscy oczekiwali mnie z dużym niepokojem. Pani Szajn miała straszne wyrzuty, że pozwoliła mi wyjść, i biadała, że moi rodzice nigdy jej tego nie wybaczą. Kiedy mnie zobaczyła całego i zdrowego, była przeszczęśliwa. Mój udział jako królika doświadczalnego w rasowych badaniach, o których musiałem ze szczegółami opowiedzieć, wywołał wiele śmiechu. Dla wszystkich był to tylko jeszcze jeden dowód na to, jak idiotyczne są niemieckie teorie rasowe.

Rankiem następnego dnia pożegnałem się z Szajnymi i poszedłem pieszo na Dworzec Wschodni. Odprowadzała mnie pani domu, ale nim doszliśmy do stacji, zatrzymałem się i poprosiłem ją, żeby wróciła już do domu. Powiedziałem jej wprost, że kompromituje mnie swoim wyglądem. Moje słowa były logiczne, ale zarazem było mi strasznie przykro. Wyglądało, jakbym ja, Żyd, wstydził się ziomka, bo wygląda jak Żyd. Wyjaśniłem jej oczywiście, że podróżuję w charakterze Polaka i nawet mama nie odprowadziła mnie w Poznaniu do samego pociągu. Ale cała ta sytuacja była idiotyczna. Do dziś mnie gryzie i nie jestem pewien, czy mama Heńka dobrze mnie zrozumiała. Żydzi nie ukrywali jeszcze wówczas, że są Żydami, i nie udawali Aryjczyków. Ale pani Szajn nic nie powiedziała i pocałowała mnie na pożegnanie w czoło.

W kasie kupiłem bilet do Niemojek z przesiadką w Siedlcach i rozejrzałem się po hallu dworcowym. Był zatłoczony, a większość podróżnych stanowili Żydzi, zapewne z zachodniej i centralnej Polski. Wszyscy jechali na wschód i Warszawa była dla nich, podobnie jak dla mnie, tylko stacją węzłową, na której musieli się przesiąść. Tu jednak nie było tak wielu patroli wojskowych jak w Kaliszu czy Łodzi. Wyglądało to tak, jakby Niemcy postanowili umożliwić ludziom ucieczkę, bo przecież na pewno wiedzieli o exodusie Żydów.

Ruszyłem na peron, z którego miał odjeżdżać mój pociąg, gdy nagle w jakimś ciemnym pasażu podskoczyło do mnie kilku wyrostków.

– Dawaj pieniądze, Żydzie! – krzykali i usiłovali mi ściągnąć plecak.
 – Panowie, przecież nie jestem żadnym Żydem! Na rany Boga dajcie mi spokój! Nie mam żadnych pieniędzy – usiłowałem się bronić.
 – To nasz, zostawcie go – rzucił jeden z nich, ale inny, widocznie sceptyk, syknął do mnie:
 – Jak ty nie Żyd, to czemu tam jedziesz? I nie mówisz jak my?
 – Bo jestem z Poznania. Tata uciekł jeszcze we wrześniu i teraz podobno leży gdzieś w Siedlcach, ranny, więc jadę go szukać! – powiedziałem.
 To chyba ich przekonało, bo mnie puścili.
 – Tam teraz prawie same Żydki jadą, więc myśleliśmy, żeś ty jeden z nich – tłumaczyli – ale jeżeli szukasz swojego taty, to jedź z Bogiem. Swojemu niczego nie zabierzem.

Pożegnali mnie niemal przyjaźnie. Dowiedziałem się potem, że w Warszawie był to wówczas dość częsty proceder, którego imaly się różne wykolejone typy. Na stacji obrabiali niemal tylko Żydów, ale na drogach napadali na wiozące żywność furmanki bez względu na to, czy były żydowskie, czy polskie. Żydzi próbowali trzymać się w większych grupach, mając nadzieję, że napastnicy będą się bali, ale niewiele to pomagało. Tamci przedstawiali się wówczas na szantaż i grozili, że wezwą Niemców, więc trzeba się było okupić.

Na peronie sprawdzonym sposobem przystawiłem się do grupki oczekujących na pociąg Polaków, w której przeważały kobiety. Wszystkie podróżowały w celach handlowych i każda dźwigała tobiół z odzieżą. Z ich rozmów zorientowałem się, że jadą do krewnych na wsi, by wymienić ubrania na żywność.

Podstawiono wagony i wsiadłem z nimi do wagonu trzeciej klasy, w którym nie było chyba jednej niewybitej szyby. Żydzi bez żadnego nakazu rozlokowali się w dołączonych do składu wagonach towarowych. Szybko zacząłem im zazdrościć, bo mieli chyba nieco ciepłej. Do Siedlec było tylko sto kilometrów, ale wleliśmy się przez kilka godzin, podczas których wiatr bezustannie wdzierał się do wagonu. Zimno było jak w psiarni i nikt nie miał ochoty do rozmów, na szczęście litościwa sąsiadka, zażywna starsza pani, użyczyła mi części swej ogromnej wełnianej chusty, żebym się nią nakrył. Mimo to przemarzłem na kość.

W Siedlcach miałem trzy godziny do odejścia pociągu w kierunku Niemojek, ale nie wyszedłem do miasta. Wyjrzałem tylko na zniszczoną bombardowaniem ulicę obok dworca. Po warszawskiej przygodzie bałem się ryzykować; głupio byłoby tak wpaść prawie u celu. Usiadłem na plecaku w kąciku obskurnej poczekalni i udawałem, że drzemię. Obok mnie siedziało kilku młodych Żydów, z ich rozmowy wynikało, że są z Piotrkowa i jadą za Bug. Zaczęliśmy gadać. Czekali na ten sam pociąg co ja, ale planowali wysiąść wcześniej, w Mordach. Zupełnie nie orientowali się w tych stronach, bo sądzili, że Mordy leżą tuż nad graniczną rzeką, ale nie wyprowadziłem ich z błędu. Opowiadali o okupacji w swoim mieście i doszedłem do wniosku, że Żydom w Poznaniu było jeszcze względnie dobrze. U nas nie urządzano na ulicach codziennych łapanek i już wiedzieliśmy, że nasze

dni w mieście są policzone. Oni nawet jeszcze się nie domyślali, że wszystkich Żydów można z domów i miasta po prostu wysiedlić.

Wreszcie podstawiono krótki, składający się z kilku wagonów pociąg i nagle okazało się, że pasażerów jest o wiele więcej, niż myślałem, tylko w obawie przed łapanką kryli się w przyległych ruinach lub w bramach domów. Upchaliśmy się jakoś i w ciągu dwóch godzin pokonaliśmy trzydzieści kilometrów, i dowleliśmy się wreszcie do Niemojek. Do Łosic zostało jeszcze pięć polną drogą, więc wynająłem furmankę z grupą pasażerów. Na wozie wszyscy, łącznie z woźnicą, byli Żydami i rozmawiano oczywiście po żydowsku. Zapytałem sąsiada, gdzie znajdę Cygielsztajnow, ale ku mojemu zdziwieniu oświadczył, że nie słyszał o takiej rodzinie. Cygielsztajnowie byli zamożni, to wiedziałem, zajmowali się skupem zboża i mieli spichrze, a w takim małym miasteczku przecież wszyscy chyba się znają? Ale kiedy zajechaliśmy na rynek historia się powtórzyła. Zapytana o nich jakaś Żydówka popatrzała na mnie, jakby podejrzewała mnie o coś okropnego, i powiedziała, że o żadnych Cygielsztajnach nigdy nie słyszała.

Mocno mnie to zaniepokoiło. Postanowiłem złapać jakiegoś Polaka, ale trudno mi było kogoś wybrać, wszyscy na rynku wyglądali jak Żydzi. W końcu zauważyłem sklep z dużym szyldem „Mięsa i wędliny – Kuncewicz”, w którego witrynie leżały kielbasy, szynki, słonina... Wszedłem i powiedziałem, że przyjechałem dzisiaj do Łosic i szukam rodziny Cygielsztajn.

– Ale przecież to są Żydzi – zdziwiła się młoda sprzedawczyni. – Po co kawaler do nich idzie?

– Mam dla nich list i chcę własnoręcznie im go doręczyć – skłamałem.

Objasniła mi drogę i po kilku minutach stałem przed dostatnio wyglądającym parterowym domem z werandą, do którego z boku podchodziło kilka zamkniętych spichrzy, ale moje kłopoty jeszcze się nie skończyły. Otworzyła mi starsza, tęga kobieta, która nie słuchając moich wyjaśnień, rzuciła, że w domu nikogo nie ma, i na powrót zatrasnęła drzwi. Poczułem się głupio, ale zapukałem jeszcze raz.

– Przyjechałem z Poznania i jestem siostrzeńcem Icka, który zaręczył się z Salą – zdążyłem powiedzieć.

– Tu nie ma żadnej Sali – odparła i znów zamknęła mi drzwi przed nosem.

Zrozumiałem, że ponieważ jestem tu nieznanym i wyglądam jak goj, żaden Żyd mi nie pomoże. Polskę okupują Niemcy i ludzie tym bardziej nie mają do obcych zaufania. Postanowiłem poczekać. Może nadejdzie Sala i wyjaśni sytuację?

Przechadzałem się po pustej uliczce i po kilkunastu minutach nadszedł starszy, postawny mężczyzna w chałacie i z brodą. Popatrzył na mnie z ciekawością i wszedł do domu, ale po kilku minutach wyszedł i spytał, kogo szukam. Opowiedziałem mu, kim jestem i po co przyjechałem.

– Czemu nie mówisz po żydowsku? – zapytał nieufnie.

– Bo go nie znam – przyznałem.

Mocno go to zaskoczyło.

– Nie znasz nic, żadnego słowa?

– Znam kilka: szabes, Gut Jomtew, bar micwa, meszugen... .

Trochę musiało go to przekonać, bo zaprosił mnie do domu.

– Sala niedługo wróci – powiedział.

Usiedliśmy w milczeniu przy dużym stole w przestronnej kuchni, a gospodyni bez pytania podała mi szklankę herbaty i ciasteczka. Wkrótce rzeczywiście nadeszła Sala i przywitała mnie ze zdumieniem, ale i radością. To przełamało lody. Podano mi ciepły posiłek i zarzucono pytaniami o mamę, którą Cygielsztajnowie znali z zaręczyn, i o całą rodzinę. Byłem pierwszym, który przywiózł im jakieś informacje z odleglejszego „świata”, bo poczta jeszcze porządnie nie funkcjonowała. W Łosicach, opowiadali, na razie było znośnie. W pierwszych dniach wojny ofiarą nalotów padła bóżnica i zginęło kilku ludzi. Niemcy weszli do miasteczka w połowie września, zdążyli je zrabować, przy czym znów zabili kilka osób, a wiele innych pobili, ale szybko odeszli, ustępując miejsca żołnierzom Armii Czerwonej. Ci po tygodniu wycofali się jednak do linii demarkacyjnej na Bugu, a z nimi wyjechała część łosickiej młodzieży i trochę rodzin. Niemcy wrócili, ale w miasteczku na razie nie ma żadnego posterunku ani stałej załogi. Żołnierze przyjeżdżają z Siedlec, czasem łapią ludzi na jakieś roboty, kogoś pobijają, żądali już także kontrybucji, ale w stosunku do tego, co dzieje się w powiatowych Siedlcach, tu nie jest tak źle. Oczywiście ludzie żyją w niepewności, a niedawno przyjechał jakiś oficer w czarnym mundurze, którego wszyscy nazywają Der Szwarcer⁷⁴. i ma zorganizować posterunek Hilfspolizei, czyli jak potocznie mówiono: žandarmerii⁷⁵.

Na drugi dzień ruszyłem z panem Cygielsztajnem na poszukiwanie odpowiedniego mieszkania dla mojej rodziny. Nie było z tym żadnego problemu, bo wiele rodzin, które pojechały za Bug, zostawiło mieszkania wraz z całym wyposażeniem pod opieką krewnych. A ponieważ krążyły pogłoski, że Niemcy będą wysiedlać do Generalnej Guberni mieszkańców zachodniej Polski, ludzie obawiali się przymusowych zasiedleń i chętnie wynajmowali mieszkania za czynsz.

Problem tkwił w tym, że żadne z mieszkań, które obejrzelśmy, nie przypadło mi do gustu. Wszystkie domy miały wygodki na dworze i brakowało im bieżącej wody. Prąd wprawdzie był, ale dostarczano go z generatora przy młynie tylko od zmiernych do dziesiątej wieczorem. Kręciłem nosem, aż w końcu pan Cygielsztajn powiedział, że muszę zapomnieć o Poznaniu: tu jest inny standard i inne mieszkania.

Wybrałem mieszkanie na parterze na rogu ulicy Sokołowskiej i rynku i zapłaciłem za trzy miesiące z góry z opcją przedłużenia, o czym mieli zdecydować rodzice po przyjeździe. Nasze nowe lokum składało się z kuchni i pokoju wraz

⁷⁴ Der Szwärzer (niem.) – Czarny.

⁷⁵ Hilfspolizei – ogólny termin utworzony dla różnych organizacji podporządkowanych podczas II wojny światowej Ordnungspolizei (były to umundurowane siły policyjne). Określano nim także różne jednostki wojskowe i paramilitarne tworzone w okupowanej przez Niemców Europie.

z niezbędnymi meblami. Pan Cygielsztajn był zadowolony, ja mniej. Po czterech pokojach z kuchnią, ubikacją, łazienką i balkonem trudno mi było sobie wyobrazić, jak się tutaj rozgościmy. Wprawdzie wojna spowodowała, że w ostatnich miesiącach widziałem wielu ludzi mieszkających w ciasnocie, ale nie odnosiłem ich sytuacji do siebie i moich najbliższych⁷⁶.

Po podpisaniu umowy zrobiłem pierwszy obchód miasteczka. Już dawno nie czułem się tak wolny jak wtedy; jakby nie było żadnej wojny i Niemców z ich zwariowanymi teoriami. Wszędzie gdzie byłem przez ostatnie dwa i pół miesiąca, toczyło się gorączkowe i pełne strachu życie. Wszędzie widziałem Polaków i Żydów spieszących się, nerwowo oglądających, dopytujących przechodniów, czy na sąsiedniej ulicy, z której przychodzą, nie łapiają. W Łosicach nie było tego pośpiechu. Miasteczko żyło jeszcze spokojnie i sennie, a chasydzi z pejsami i w chałatach chodzili godnie i bez obaw. Nie było nawet kolejek. Mięśne sklepy, piekarnie, spożywcze sklepiki były normalnie otwarte, a ludzie do nich wchodzili swobodnie i kupowali co chcieli. Ceny były co prawda już wyższe niż dawniej, ale nieznacznie, co lepsze zaś importowane towary zniknęły z półek, ukryte przez przewidujących kupców – lecz produktów codziennego użytku, dostarczanych przez wieś, nie brakowało. Oczywiście była to sytuacja przejściowa, bo Niemcy nie zorganizowali jeszcze swoich aparatów skupu towarów i ucisku ludzi.

Łosice przed wojną miały blisko sześć tysięcy mieszkańców, z czego osiemdziesiąt procent stanowili Żydzi. Kilku kupców oraz właściciele młynów, mleczarni, olejarni i gręplarni zaliczali się do małomiasteczkowych bogaczy, ale większość żyła z handlu i rzemiosła. Szczególnie dużo było szewców, którzy wyrabiali buty dla innych miast, zwłaszcza nie tak dalekiej Warszawy⁷⁷. Ale teraz niemal całe życie gospodarcze zamarło i handel zszedł do podziemia.

⁷⁶ Noach Lasman: „Już po przyjeździe rodziny okazało się, że mieszkanie przy rynku, mające swoje walory w normalnych czasach, w warunkach okupacji zdradza poważne mankamenty. Sam fakt, że znajdowało się w samym sercu miasteczka i że mieściło się na parterze, powodował, że w większym stopniu niż inni byliśmy narażeni na »odwiedziny« przejeżdżających Niemców, niespodziewane rewizje oraz łapanki do różnych robót”. *Przez okupowaną Polskę*, s. 23, w: *Obrazy z ciemności*.

⁷⁷ „Żydzi łosiccy nie pracowali tylko dla potrzeb miasteczka i okolicy, ponieważ prawdą jest, że te dwie grupy ludności [Polacy i Żydzi – przyp. red.] żyły w izolacji. W Łosicach przed wojną było zrzeszonych w żydowskim związku zawodowym szewców przeszło czterystu członków. Pracowali (...) dla przedsiębiorców z odległych miast, którzy dostarczali im wzory i materiały. Potem (...) na obuwiu nalepiano ładne etykiety z zachęcającą nazwą, pakowano w atrakcyjne, eleganckie pudełka i sprzedawano we wszystkich większych miastach Polski. Nabywcy tych butów nigdy nawet nie słyszeli nazwy Łosice. (...) Zyski zgarniali głównie oczywiście pośrednicy, zwykle emigranci łosiccy, którym udało się wyrwać z małomiasteczkowej nędzy. Na miejscu nie było żadnej atrakcyjnej pracy ani dla Żydów, ani dla Polaków”. *List Noacha Lasmana do Marka Jerzmana*, 17 października 2001.

Wszystko to było dla mnie nowe i egzotyczne, a najbardziej język. Na ulicach rozbrzmiewał jidysz, którego nie znałem, choć rodzice czasem wymieniali ze sobą parę zdań w tym języku. Na co dzień jednak niemal we wszystkich żydowskich rodzinach w Poznaniu mówiono z dziećmi wyłącznie po polsku. A tutaj nawet część Polaków znała w jakimś stopniu język żydowski. Miejscowi nie spotkali chyba jeszcze Żyda, który nie znałby swojego języka. Pomyślałem, że dla nich ja też muszę być chyba dziwny. Czułem się wyobcowany i inny.

Napisałem list i po kilku dniach cała moja rodzina przyjechała z Poznania. Droga przeszła im wyjątkowo spokojnie i nawet liczny bagaż, który miał nam pomóc urządzić sobie życie na nowo, mimo kilku przesiadek dotarł na miejsce bez żadnego uszczerbku.

Początkowo, jeszcze w Poznaniu, zakładaliśmy, że jeśli w Łosicach nie będzie bezpiecznie, ruszymy dalej na wschód. Ale teraz z drugiej strony dochodziły coraz mniej przyjemne wieści i moi rodzice uznali, że warunki w miasteczku są znośne. Po Poznaniu można było tu odpocząć. Do wiosny wytrzymamy, orzekł ojciec, więc przestaliśmy mówić i myśleć o przedostaniu się za Bug.